

BAJKA.

Szli sobie raz trzech podróżnicy do północnego bieguna. Szli bardzo długo... a było ich trzech, jak już wyżej powiedziałem: 1) Anglik, 2) Jankes i 3) Norweg.

Łagodni to byli ludzie i spokojni bardzo, ale uparci, że nie daj Boże. Jak sobie przed pięciu miesiącami przyrzekli, że do bieguna dojdą i zatkną na nim chorągwie o barwach narodowych, tak wytrwali w tem postanowieniu przez sto pięćdziesiąt dni.

I nie zrażały ich żadne przeszkody i przeciwności. Nie powstrzymał ich w drodze straszny niedźwiedź biały, potwór lodów arktycznych, dla którego zabicie człowieka, łatwiejszem jest jeszcze od zabicia foki lub lwa morskiego. Nie powstrzymały ich okropne podbiegunowe zawieje zięjące mrozem i śmiercią, ani najniebotyczniejsze podbiegunowe barykady lodowe, powznoszone najniepotrzebniej przez głupie bezmyślne kry i góry lodowe, które je budowały i pyszniły się z tego. Nie powstrzymał ich widok słońca podbiegunowego, które w pobliżu bieguna nie chciało zapadać za horyzonty i chodziło niezdecydowane po niebie tam i z powrotem z ognistą czupryną, zupełnie jak warjat, lub szaleniec.

Trzej podróżnicy nie zniechęcili się tem wszystkim bynajmniej; białego niedźwiedzia zabili, zawieruchy śnieżne przetrzymali z właściwym ich rasie uporem, zadęte śniegiem barykady przebyli po długich a ciężkich usiłowaniach, razem z saniami i psami pociągowymi, — nad słońcem zaś przeszli najspokojniej do porządku dziennego. Przecie nie tylko oni, ale każde myślące i cho-

dzące do szkoły dziecko Anglii, Ameryki lub Norwegii wie o tem, że słońce podbiegunowe, jak niegdyś przed miljonem lat w chwili stworzenia świata dostała manji prześladowczej na tle niezapadania za horyzont przez pół roku, tak nie wyzbyło się jej do dzisiaj. Zato już, jak wpadnie raz za ten zniechędzony horyzont (twierdzi ono, że to tylko wskutek nieostrożności) — to siedzi tam w dziurze przez pół roku i nie śmie się pokazywać ze wstydu.

Ale wróćmy do rzeczy...

Szli nasi trzech podróżnicy uparcie, zawzięcie i nieubłaganie, szli wreszcie szybko lub powoli lub umiarkowanie! Naturalnie, jak im było wygodniej w danej chwili. Strasznie byli uparci, zawzięci i niepowstrzymani. Wołał do nich lód, śmiał się wicher, odgrażał się mróz: Nie dojdziecie, nie dojdziecie, nie dojdziecie! A oni szli naprzód i odpowiadali ustawicznie i przekornie: Dojdziemy! dojdziemy! dojdziemy! (uważajcie tedy, jak byli uparci, zawzięci i niepowstrzymani). Ich własne psy eskimoskie, potrząsające przy sankach skórzaną uprzężą szczerkały do nich zniechęcone: Nie dojdziecie, nie dojdziecie, nie dojdziecie! — a oni odpowiadali idąc wciąż naprzód: Dojdziemy, dojdziemy, dojdziemy! (Widać z tego dokładnie jak byli uparci, zawzięci i niepowstrzymani).

Szli, odpoczywali, pędzili, stawali, spali, robili pomiary i znów szli dalej. A ostatnie pomiary wykazały im, że są już niedaleko bieguna.

— Oto już mamy biegun przed nami — mówił Anglik do Jankesa. — Trzeba już wypakować nasze sztandary o narodowych barwach.

„DZIECI TARNOWSKIE“

Wspomnienie z r. 1863.

Jakkolwiek pierwsze usiłowania inicjatorów i żołnierzy powstania, zmierzające do opanowania miast Kongresówki, a przede wszystkim Płocka, nie powiodły się, to jednak duch, ożywiający te pierwsze zastępy bohaterów coraz szersze obejmował kręgi, — tak że niemal po wszystkich większych miastach, obfitujących w młodzież, zwłaszcza szkolną, poczęły się tworzyć oddziały „zbrojne“, gotowe poświęcić życie za ojczyznę.

W szeregu takich środowisk zapisany jest także i Tarnów, a jak się rzecz miała, opowiedział jeden z uczestników tej dziecięcej wyprawy, Stanisław M. w następujących słowach:

„Piękna i pogodna była ostatnia niedziela w marcu r. 1863. Słońce jasne, choć nie grzejące, ozłacało ściany i dachy wysokich kamienic i niskich chat przedmiejskich i zdawało się rozbudzać do nowego życia czarne pola przedmiejskie, rozciągające się po obu stronach drogi Klikowskiej. Nadzieją wiosny tchnęło powietrze, ale smutek i bolesć owładnęły sercami ludzi. Bo oto gruchnęła wieść po całym mieście, wieść przerażająca, że znów jakiś oddział powstańców rozbili Moskale nad Wisłą, a niedobitki, którym się udało przez na pół zamrzniętą rzekę dostać do Galicji, mają sprowadzić żoł-

nierze austrijacy do Tarnowa i rozmieścić po koszarach i więzieniach. Od rana też snuły się wzdłuż ulicy Klikowskiej tłumy mieszczan i dzieci, niosących w chustkach i koszykach chleb, mięso, wódkę i co kto zresztą miał, aby rozdzielić między zziębniętych i głodnych powstańców. Pierwsze wozy pokazały się dopiero około godziny 3 po południu, konwojowane na szczęście przez naszych chłopów Mazurów, którzy bez żadnej przeszkody pozwalali obdarzać powstańców, rozmawiać z nimi i towarzyszyć im do miasta. Nic też dziwnego, że w tym, tłumie mężczyzn, kobiet i dzieci udało się niejednemu „Królewikowi“ zejść niepostrzeżenie z wozu, wpaść pomiędzy ludzi i zniknąć z przed oczu żołnierzy, zanim ci, również obdarowywani przez mieszczan tytoniem i cygarami mogli spostrzedz co się dzieje.

W ten sposób uniknęło kilkunastu powstańców przymusowego powrotu za granicę, a w następstwie Sybiru lub szubienicy.

W tajemnicy mówiono nam, że ci zbiegowie z konwoju mają się zejść w niewielkim lasku za miastem, leżącym w kierunku ku Dąbrowy. Wielu o tej tajemnicy wiedziało, ale starsi ludzie, bojąc się obecnością swoją zdradzić chwilowe miejsce pobytu powstańców, wysłali kilkunastu nas, uczniów niższego gimnazjum, wieczorem do lasku, dawszy nam do rąk dla tych biedaków trochę pożywienia i niewielką ilość pieniędzy.